

ROZMAITOŚCI.

Dnia 21 marca,

N^o 12.

roku 1846.

HRABIA de MONTE-CHRISTO.

(Dokończenie.)

3. Kara śmierci.

Przybywszy do amfiteatru Cezarów, zostawił Lucyjan swego przyjaciela Alberta opiece natrętnych *ciceronów*, a sam usiadł w milczeniu u stóp kolumny, i przypatrywał się zamysłony błędzającym w dali pochodniom przewodników Alberta. Po niedługiej chwili wyrwało go z tego zadumania okazywanie się jakiegoś mężczyzny, który, ile z jego światłem księżyca oprószonych sukien wnioskować było można, do wyższych stanów należał. Po kilku minutach nadeszła tam jeszcze jakaś druga osoba, lecz ta była w ubiorze wieśniaczym.

»Przebacz, *eccellenza*« — ozwał się nowoprzybyły — »dałem ci długo czekać na siebie; przychodzę z twierdzy San Angelo, i miałem wiele trudności, nim się wreszcie z Beppem obaczyć mogłem.»

»I czegożeś dowiedział się?»

»Że następnego piątku, jak to zwykle przy rozpoczęciu karnawału bywa, mają dwaj winowajcy być traceni; jednym z nich, jest nasz towarzysz Peppino.»

»I cóż więc myślisz czynić?» zapytał pierwszy.

»Postawię dwudziestu ludzi wokoło rusztowania, a ci, na dany znak, rzucą się na straż wojskową i odbiją Peppina.»

»Ten plan nie zdaje się być tak łatwym do wykonania; ja z mojej strony, myślę coś innego uczynić.»

»I cóż to takiego *eccellenza*?»

»Dam 2000 piasstrów, aby wykonanie kary śmierci do roku przyszłego odwleczono; a później dam jeszcze 10.000, aby mu ucieczkę ułatwić.»

»Ale jesteś *eccellenza* pewnym, iż mu się to powiedzie?»

»*Pardieu!*« mruknął tamten zuchwale po francuzku.

»Ha« — odrzekł wieśniak — »jeżeli tak, więc dobrze; wiész *eccellenza*, jak mu jestem uległym,

lecz skoro *eccellenza* chcesz sam Peppina uratować, nie może się to już z mojej strony uległością nazywać, lecz ślepem posłuszeństwem.»

»Dobrze, dobrze; będę może kiedyś z tego korzystał i przypomnę ci to; lecz teraz musimy się rozejść; są tu jacyś cudzoziemcy, którzy zwidzają Kolosseum; mogliby nas razem obaczyć. Bądź zdrow!»

W tej chwili nadszedł Albert, wracając z swojej wędrowki pośród zwalisk, i zawołał zdaleka: »Lucyjanie! Lucyjanie!« — lecz tenże zczekał tak długo z odpowiedzią, aż owi dwaj nieznajomi zupełnie się oddalili.

Po upłynieniu chwil kilku, byli nasi przyjaciele już na drodze do hotelu. Albert popisywał się swoją uczonością, przytaczając mnóstwo łacińskich napisów wyczytanych na pomnikach; Lucyjan milczał i dumał, gdyż w owym z pańska ubranym nieznajomym, poznał był Sindbada, majtkę.

Nazajutrz wieczorem udali się Albert i Lucyjan na operę, gdzie cała ich uwaga zwróciła się na pewną piękną dziewczę albańską, w malowniczym stroju krajowym, otoczoną kilką osobami, pomiędzy którymi Lucyjan z zadziwieniem swego tajemniczego gospodarza z wyspy Monte-Christo rozeznał.

W hotelu, gdzie nasi przyjaciele z powodu natłoku karnawałowych gości, ledwie jakiś tylny pokój dostać mogli, dowiedzieli się oni od signora Pastriniego, iż cały frontowy szereg pokoiów zajęty jest przez pewnego sycylijskiego lub też maltańskiego magnata, o którym gospodnik żadnych bliższych szczegółów dać nie mógł, jak tylko że nadzwyczajnie ma być bogatym, i nazywa się hrabia de Monte-Christo.

Następnego poranku po przedstawieniu opery »Paryżyna,« siedzieli Lucyjan i Albert przy czekoladzie, gdy nagle ozwało się jakieś pukanie do drzwi i przerwało im rozmowę o bliżkiem traceniu dwóch winowajców, któremu chcąc się przypatrzeć, umyślił sobie okno nająć.

»Proszę!« zawołał Lucyjan w odpowiedź na pukanie.

W tej chwili otworzyły się drzwi a jakiś służący w liberyi stanął na progu.

„Od hrabiego de Monte-Christo” — rzekł lokaj, doręczając dwa bilety — „dla pana Lucyjana d'Epiny i margrabiego Alberta Morcef.”

„Proszę oświadczyć panu hrabiemu” — odpowiedział Lucyjan — „iż będziemy mieli zaszczyt służenia mu natychmiast.”

Po skończonem śniadaniu kazali się obadwaj przyjaciele zaprowadzić przez gospodnika do pokoiów hrabiego, a zaledwie Padrone, spełniwszy ich życzenia, wyszedł za drzwi, otworzyły się podwoje przybocznej sali, i okazał się hrabia. Albert postąpił kilka kroków naprzeciw niemu, lecz Lucyjan pozostał na miejscu jak wryty. Hrabia de Monte-Christo było ów nieznamy w Kolosseum, ów towarzysz Albanksi na operze, gospodarz czarodziejskiego przebytku na wyspie Monte-Christo — Sindbad, majtek.

Nie chcąc wcale poznać w Lucyjanie swego nowego gościa na owę odludną wyspę, oświadczył hrabia z ujmującą grzecznością, iż słyszał od gospodnika, że Lucyjan i Albert życzą sobie być obecnymi przy zapowiedzianem traceniu; a ponieważ on, hrabia de Monte-Christo, w tymże samym celu kilka okien na placu del Popolo zamówił, przeto będzie bardzo rad temu, jeżeli obaj przyjaciele z nim razem tej scenie się przypatrzeć, jakoteż i w ciągu całego karnawału, jego powozu i koni używać zechcą.

Nieprzejrzany tłum ludu zapełniał plac del Popolo, na którym tylko dwa przedmioty ponad ruchomą płaszczyzną głów wysoko górowały, to jest, obelisk z krzyżem na środku placu, i rusztowanie, podobne zupełnie do gilotyny francuskiej. Przyległe wzgórze Monte Pincio zdawało się być napełnionym widzami amfiteatrem; od rusztowania aż do małego kościółka, zwanego Santa-Maria del Popolo, gdzie winowajcy ostatnią noc spędzili, rozciągał się podwójny szereg karabinierów, a stojąca przed jedną z przybocznych kapliczek kościółka straż wojskowa, wskazywała ludowi miejsce, z kąd niebawem obaj niecierpliwie wyglądani winowajcy wyjść mieli.

Nagle po długiej gwarnej wrzawie całego jak fale morskie niespokojnie kołyszącego się i szemrzącego tłumu ludzi, nastąpiła głęboka cisza. Wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom kościółka, które zwolna się otworzyły. Naprzód wyszedł z nich szereg mnichów pokutnych odzianych w szare wory, z jedynemi otworami na oczy. Za mnichami postępowali wysoki, barczysty mężczyzna, prawie wół nagi, bo tylko krótkie płócienne spodnie mający, z ogromnym nożem u boku i ciężką maczugą na ramieniu. Na nogach miał sandały, przymocowane taśmami. Był to kat. Dalej za nim szli obaj winowajcy, w porządku, jakim ich tracić

miano, to jest: pierwszy, Pepino, za nim niejaki Andrea, skazani obaj za popełnione na pewnym kapłanie zabójstwo; przy każdym z nich szedł spowiednik. Wszystek lud spoglądał w milczeniu z natężeniem na potępieńców. Podobne widowisko śmierci, było i będzie zawsze najciekawszym widowiskiem dla żyjących. Gdy processyja ku rusztowaniu się zbliżyła, nadbiegł goniec i doręczył przewodnikowi procesyji jakieś pismo. Ten je szybko otworzył, a potem w głos zawołał:

„Chwała niech będzie panu, a błogosławieństwo nieba niech znajdzie na jego światłość; życie jednego z winowajców jest ocalone!”

„Któryż to z nas otrzymał przebaczenie?” spytał niechętnie Andrea. Peppino stał bez tchu, jak skamieniały.

„Peppino, zwany Rocca Priori otrzymał odpuszczenie kary śmierci” — ozwał się przewodnik mnichów.

„Przebaczenie dla Peppina!” zawołał Andrea — „A dla czegoż nie dla mnie? Mieliśmy razem ginąć. Otrzymałem przyrzeczenie, iż on pierwszy traconym będzie; nikt nie ma prawa tracić mnie samego. Nie chcę sam jeden ginąć!”

Poczem zaczął szamotać się z księżami, targąc powrozy, które go krępowały, lecz tu zeskoczyli pomocnicy kata z rusztowania i przemogli go po krótkim pasowaniu się.

„Patrzcie panowie” — ozwał się hrabia z przeraźliwym uśmiechem. Ten człowiek wścieka się ze złości, że jego bliźni z nim razem śmierci nie ma ponosić. Był on dopóty zrezygnowany, dopóki się spodziewał widzieć kogo innego umierającym przed sobą. Otoż miłość bliźniego! taka to miłość ludzka!”

A to mówiąc zaśmiał się okropnie, jak gdyby jakieś niewystowione, przeżyte cierpienia nadały mu były prawo do tak piekielnego uśmiechu. Tymczasem wywleczono Andree na rusztowanie. Lucyjan, jakby magiczną różdżką dotknięty, wzdrygnął się cały na ten widok. Pomimo wszelkiego krzyku i długiego szamotania się i kłaniania wokoło siebie, został Andrea przez oprawców pokonanym i do ukłęknięcia zmuszonym. W tej chwili stanął kat przed nim i wzniosł maczugę. Na dany znak uskoczyli oprawcy na bok. Winowajca chciał jeszcze raz się zerwać, lecz tu żelazna maczuga weń ugodziła, a on, jak walczący byk na arenie, runął obliczem ku ziemi. Na to dobył kat noż a zza pasa, i przeciął mu szyję, a w końcu jeszcze nogą podeptał trupa.

Lucyjan był blizkim omdlenia, Albert zponurzał i pobladał. W tém ozwały się nagle dzwony na wzgórzu Monte-Citorio, przerywając wesołemi dźwiękami grobową ciszę. W oka mgnieniu odzyskał lud swoje dawną wesołość, i było znowu gwarno, tłu-

mno, ochoczo. Rozpoczęła się *mascherata* kar-nawałowa.

* * *

4. Katakomby.

Nasi przyjaciele przyjęli z podziękowaniem ofiarowane sobie przez hrabiego powóz i konie i używali do syta wszelkich uciech zapustnych. Nie możemy przecież zamilczeć, iż co się tycze Alberta, to ostatnie twierdzenie nasze nie było zupełnie prawdziwem. Albert miał jakieś tajemne umartwienie. Gryzło go, iż odkąd we Włoszech bawi, żadna mu jeszcze przygoda się nie wydarzyła. A naczół, podróżować po Włoszech, nie zaznawszy najmniejszego niebezpieczeństwa, nie miawszy żadnego romansu, nie spotkawszy ani jednego *bravo!* Więc pokładał ostatnią swoją nadzieję w karnawale, jako w czasie, kiedy najrozsądniejsi, niektórych wybrków i szaleństw sobie pozwalają, a od szaleństw do niebezpieczeństw — pół kroku drogi.

Jakoż zaczęło się niby na jakieś przygody zano-sić. Przejeżdżając się po Corso, gdzie już z nie-jednym powozem żywą utarczkę cukierkami stoczyć wypadło, postrzegł Albert powóz z gronem kobięc-ych masek, przebranych za wieśniaczki, z których jedna ku jego wielkiemu zachwyceniu, nieznacznie na niego, jak mn się zdawało, paluszkami skinęła. Na nieszczęście rozminęły się wnet ich powozy, a tajemnicza wieśniaczka zniknęła może na zawsze.

„Ach, przyjacielu!” — rzekł Albert do Lucyjana — „nie uważałeś ów powóz z rzymskimi chłopiankami?”

„Nie.”

„Byłyto, jak się zdaje, bardzo piękne kobiety.”

„Szkoda, iż jesteś maskowanym” — odpowiedział Lucyjan złośliwie — „Miałbyś był porę powetować dotychczasowy brak wszelkich przygód miłosnych.”

Albert nie omieszkiał korzystać z tej uwagi, a gdy przypadkiem tenże sam powóz z rzymskimi chłopi-ankami znowu ku naszym przyjaciołom się zbliżył, Albert, jakby przypadkiem, dał swojej masce spaść z twarzy. Za to jedna z dam maskowanych rzuciła mu pęk fiołków. Albert pochwycił szybko kwiaty, a Lucyjan nie mając żadnego powodu do mniema-nia, iż one dla niego były przeznaczone, dozwolił obojętnie ich posiadanie przyjacielowi, który w try-umfie wiązanek w zanadrze włożył.

Nazajutrz miał Lucyjan sprawunki w hotelu fran-cuzkiego poselstwa. Albert udał się sam na Corso i wrócił w bardzo dobrym humorze. Spotkał się był znowu z swoją maską i otrzymał niejkie drobne oznaki wzajemnego nim zajmowania się. Mia-nowicie uchyliła ona była cokolwiek maski i okaza-ła mu oblicze cudnej piękności.

Lucyjan winszował wszelkiej pomyślności przyja-cielowi, a ten przyjmował tę grzeczność jako wła-

śność, która mu się najsłuszniej należała. Miał on po niektórych nieomylnych znamionach jak najdo-kładniej poznać, że jego tajemnicza piękność, z naj-wyższych sfer arystokracji pochodziła.

Unosząc się coraz większym zapałem, postano-wił Albert napisać do niej nazajutrz. Owoż wró-ciwszy dnia jutrzejszego pod wieczór do hotelu, przybiegł Albert w największej radości do Lucyja-na i pokazał mu zdala z tryumfującą miną kawałek papieru.

„Odpowiedział ci?” — zapytał Lucyjan. — „Czy-taj!” — Lucyjan wziął bilecik i wyczytał: „W piątek wieczorem wysiedziesz pan u wjazdu do Via dei Pontefici i pójdziesz za maską w stroju rzym-skiego włościanina, który odbierze od ciebie *moc-coletto* (światło). Poczem udasz się przed kościół San Giacomo, i będziesz miał niebieską wstążeczkę u pier-si, abym cię poznać mogła. Aż potąd nie będziesz mnie nigdzie widział. Wierność i tajemnica!”

„No, jakże!” — ozwał się Albert do Lucyjana, po przeczytaniu biletu. „Cóż ty o tém sądzisz?”

„Ha, sądzę” — odrzekł Lucyjan — „iż z tego bardzo przyjemna zabawka wynikać może.”

„I ja tak sądzę” — rzekł uradowany Albert — „a przeto, jużto podobno ty sam jeden do księcia Bracciano będziesz iść musiał.”

Te ostatnie słowa ściągały się do zaproszenia, jakie nasi przyjaciele dziś rano od sławnego ban-kiera tegoż imienia otrzymali.

„Jak uważam” — rzekł Lucyjan — „to ja sam jeden nie tylko do księcia Bracciano będę iść musiał, lecz podobnoś nawet i do Florencyi sam pojedę.”

„Bo też moja niezajoma jest w istocie tak pię-kną i lubą” — odpowiedział Albert — „iżby się wcale dziwić czemu nie było, gdybym dla niej przynaj-mniej z sześć tygodni w Rzymie zabawiał. Przy-tém lubię Rzym nadzwyczajnie, i czułem oddawna osobliwszy pociąg do archeologii.”

„Gdyby jeszcze druga podobna przygoda miło-sna” — żartował Lucyjan — „a miałbym zaprawdę zaszczyt, widzieć cię jeszcze członkiem akademii francuzkiej.”

Tego samego dnia wieczorem był Lucyjan na ba-lu, który książę Bracciano co roku w końcu karna-wału wyprawia, gdy mu służący oznajmił, iż pan Pastryni, gospodnik hotelu, za nim tu przysłał, po-nieważ jakiś człowiek z listem od pana Alberta Morcef w hotelu na niego czeka.

„Od pana margrabiego!” zawołał Lucyjan.

„Tak jest, panie.” —

Lucyjan przeczuwał, iż się coś złego wydarzyć mu-siało, dla tego wrócił natychmiast piechotą do ho-telu, który tylko o kilka minut drogi był oddalonym. Tam u bramy postrzegł jakiegoś nieznanomego, pła-szczem osłoniętego mężczyznę na ulicy, a domy-słając się, iż to Alberta jest posłaniec, przemówił

doń, pytając o przyjaciela. Nieznajomy zapytał wzajem, czy ma zaszczyt mówić z panem Lucyjanem d'Epiny, a otrzymawszy zatwierdzającą odpowiedź, oddał Lucyjanowi list od Alberta. Gdy jednak Lucyjan nieznanego z sobą do hotelu zapraszał, ten z osobliwym uśmiechem od zaproszenia się wymówił. Lucyjan kazał przynieść świecę i wyczytał co następuje:

„Kochany przyjacielu,

Otrzymałszy to pismo, bądź łaskaw wyjąć z mego portfolio mój list kredytowy, dołóż, gdyby tego potrzeba było, twój własny, pójdz do pana Tortoniego, i wez natychmiast 4000 piastrow, które oddawcy tego pisma doręczysz. Nie piszę ci nic więcej, i ufam zupełnie twojej przyjaźni, równie jak i ty w każdym razie mojej zaufać mógłbyś.

P. S. Teraz wierzę, iż są bandyci we Włoszech.
Twój przyjaciel.

Albert de Morcef.”

Postscriptum, pisane było w języku angielskim, a dalej następowało jeszcze kilka słów po włosku, tej treści:

„Jeżeli wymieniona powyżej suma do jutra rana, najpóźniej do szóstej godziny, doręczoną mi nie będzie, natenczas margrabia Albert de Morcef z pewnością o siódmej godzinie już żyć nie będzie.

Luigi Vampa.”

W tak doraźnym przypadku postanowił Lucyjan użyć śmiałego kroku, i przywiódł sobie w pamięć, co przed kilką dniami w Kolosseum był słyszał. Wreszcie zadzwonił, a nato wszedł sam gospodnik.

„Mój kochany signor Pastrini” — rzekł Lucyjan — „czy sądzisz, iż hrabia de Monte-Christo jest w domu?”

„Tak jest, *eccellenza*; własnie co przyszedł.”

Lucyjan pośpieszył natychmiast przez kurytarz do mieszkania hrabiego, który ze zwyczajną grzecznością go powitał. Lucyjan okazał mu natychmiast list Alberta. Hrabia zapytał swojego gościa, czy ma tyle pieniędzy w pogotowiu, a na przypadek, gdyby ich nie miał, ofiarował mu z uprzejmością swoje kiesie. Lecz Lucyjan przedsięwziął przystąpić bez zwłoki do głównej rzeczy i ozwał się do hrabiego:

„Mniemam, że gdybyś pan chciał się wdać w tę sprawę, mogłaby ona krócej być załatwioną.”

„Jakto?” zapytał hrabia zdziwiony.

„Ha, gdybyś pan sam do Luigiego Vampa się udał, więc jestem pewnym, iż Albert natychmiast byłby wolnym.”

„Ależ, zkadżebym ja tak wielki wpływ nad wymienionym tu zbójcą miał wywierać?”

„Wszakżeś mu pan wielką przysługę wyrządził.”

„Jaką?”

„Nie ocaliłeś życie Peppina?”

Hrabia zamyslał się na chwilę, a potem rzekł:

„A gdybym do Vampy chciał się udać, czyżbyś pan miał ochotę pójść ze mną?”

„Jeżeli panu towarzystwo moje jest miłe...”

„Więc dobrze; pójdziemy razem. Noc piękna; wycieczka w okolice *Campagna di Roma* jest w tej porze bardzo przyjemna. Lecz wprzódy należy rozmówić się z posłańcem.”

To rzekłszy, przystąpił hrabia do okna i gwizdnął. Nieznajomy wysłannik Alberta zbliżył się do okna.

„*Salute!*” zawołał hrabia, a nieznajomy wypełnił w milczeniu jego rozkaz, i po kilku chwilach wlaźł do pokoju przez okno.

„Ach, toś ty, Peppino!” rzekł hrabia.

Peppino zaś, zamiast wszelkiej odpowiedzi, rzucił się do nóg hrabiemu, ucałował mu kolana i ręce. Monte-Christo kazał mu powstać, i zapytał, jakim sposobem Albert w ręce Luigiego się dostał.

„Oto tak *eccellenza*!” — odrzekł Peppino, opowiadając — „Powóz Francuza przejechał kilka razy obok powozu w którym Teresa siedziała. Francuz zaczął się zalęcać, a to Teresę bawiło i przez żart odpowiadała na to zalotnie. On jej w znak miłości, kwiaty rzucał, ona jemu tożsamo; rozumie się, zawsze za pozwoleniem Luigiego, który przy niej w powozie siedział. Wreszcie umówiono schadzkę w kościele San Giacomo, lecz tym razem nie Teresa lecz Beppo, mały, piętnastoletni chłopiec odebrał podług umowy, *moccoletto* od niego. Przy końcu ulicy Via Macello, czekał powóz na Francuza. Beppo mu oświadczył, iż go zawiezie do pobliskiej willi za miastem. Przybywszy na brzeg rzeki Almo, stanął powóz, a czterech zbrojnych ludzi, za pomocą małego Beppina, pokonało z łatwością zawiezionego kochanka i zaprowadziło go do katakomb San Sebastiano, gdzie Luigi i Teresa już na niego czekali.”

„Ha,” — odpowiedział hrabia z uśmiechem — „wcale pocieszna przygoda! Dobrze przynajmniej, iż miejsce zkad go wydobyć mamy, jest tak romantycznie i malowniczo położone.”

Poczem kazał Monte-Christo zaprzędz konie, które po pięciu minutach stały już w pogotowiu przed drzwiami. Ali, ów Nubijczyk z podziemnego mieszkania na odludnej wyspie w pobliżu Elby, siedział na koźle; Peppino zajął obok niego miejsce lokaja. Powóz pognął wzdłuż ulicy Appijskiej, ciągnącej się pomiędzy mnogimi starożytnymi grobowcami, i stanął wreszcie u cyrku Karakalli, gdzie Lucyjan i hrabia Monte-Christo wysiedli. Puściwszy się najprzód wąską ścieżką, wiodącą do jednej z owych niezliczonych jaskiń i podziemniów, które odkryte z wierzchu czerwoniawemi, jak grzywa rozgniewanego lwa najeżonemi zaroślami, całą kampanię di Roma we wszystkich przecinają kierunkach, postrzegli u końca ścieżki dwóch zbrojnych ludzi na

straży, i zostali za wymienieniem hasła przepuszczeni. Nieco dalej, w pośrodku ogromnej skały, był na pół krzewami zakryty otwór, przez który zaledwie jeden człowiek mógł się przesunąć. Peppino zapalił pochodnię i wszedł naprzód. Czém dalej, tém szerszej rozkwierało się wnijsie do jaskini, a wreszcie, minawszy kilka straż, weszli nasi znajomi do długiego, licznemi pobocznemi wychodami poprzecinanego kurytarza, którego obie ściany, wydrążone w mnogie trumienne niże, wyraźnie oznajmiały, iż się znajdują w starożytnych Katakombach. Wtém zabłyśło im światło zdale, a po kilkuchwilowej wędrowce pośród grobów, dostał się Lucyjan z hrabią do *Columbarium*, to jest do dużego przestronnego miejsca, służącego niegdyś za kaplicę, gdzie, oparty o jedną z kolumn, stał jakiś mężczyzna, i czytał, podczas gdy więcej niż dwudziestu innych ludzi, owiniętych płaszczami, leżało pokotem na ziemi we śnie, a o kilka kroków dalej, straż nocna tam i nazad się przechadzała.

Wyrzeczenie hasła przez zbliżającego się Peppina zwróciło uwagę czytającego.

„Ach *eccelenza*,” zawołał Vampa, gdyż on-to był istotnie, postrzegłszy hrabię de Monte-Christo — „nie spodziewałem się mieć zaszczytu widzenia go dziś u siebie..”

„Cóżto!” — ozwał się hrabia dumnie — „czyżemy się nie umówili, iż nie tylko moja własna osoba, lecz nawet moi przyjaciele, nietykalnymi dla was być mają?”

„A w czémżem wykroczył przeciw tej umowie, *eccelenza*?” zapytał Vampa.

„Porwaliście dziś po południu margrabięgo Alberta de Morcef, który jest moim przyjacielem” — rzekł hrabia groźnym tonem, na który Lucyjan zadrzał cały z przestrawu.

„Nie wiedziałem, *eccelenza*, iż on twoim jest przyjacielem” — odpowiedział Vampa pokornie — „I za nic w świecie nie chciałbym łamać danego ci przyrzeczenia.”

„Ale gdzież jest więzień?” — rzekł Lucyjan, oglądając się z trwogą na około.

„Tam spi w kącie” — rzekł Vampa, wskazując ku głębi. „Pójdę i natychmiast go oswobodzę.”

Po tych słowach zbliżył się herszt rabusiów wraz z hrabią i Lucyjanem ku spiącemu Albertowi, i musiał nim wstrząść mocno, nim on z głębokiego snu się przebudził.

„Ach, tyś to kapitanie” — ozwał się przebudzony. — „Czemużes mi spać nie dał! Miałem tak piękną sen! Śniło mi się, iż tańczyłem polkę z hrabiną G.”

„Ha, jeżeli się zechcesz pospieszyć” — rzekł Lucyjan, patrząc się na zegarek — „to możesz jeszcze sen swój urzeczywistnić; jest teraz dopiero w pół do pierwszej.”

„Ach, tyżeśto, mój Lucyjanie!” zawołał Albert z radością — „O, czémże ci się wywdzięczę, mój wierny przyjacielu!”

„Nie mnie dziękuj” — odrzekł Lucyjan — „lecz naszemu łaskawemu sąsiadowi, hrabiemu de Monte-Christo.”

„Co widzę, hrabio!” zawołał Albert, poprawiając sobie nieco popsutą toaletę. „Ach jakżeś nad wyraz uprzejmy panie hrabio! Bądź przekonany, iż mię sobie na całe życie zobowiązałeś — najprzód pożyczaniem nam powozu na karnawał, a powtóre, wyratowaniem mię z tej łapki.”

„Signor Luigi” — ozwał się młody, roztrzepany Francuz. dalej — „mamże przed naszym odejściem dopełnić jeszcze jakiej formalności?”

„Żadnej, mój panie” — odrzekł Vampa. „Teraz proszę panów za sobą.”

Albert, Lucyjan i hrabia udali się za bandytą, który ich aż do otworu jaskini wyprowadził. Wszyscy rabusie rozstępowali się z pokorą na ich widok, i nisko im się kłaniali. Chciano się już rozjeść, gdy Lucyjan jeszcze się nieco ociągał.

„Czy *eccelenza* może jeszcze jaki ma sprawunek do nas?” zapytał Vampa z uśmiechem.

„Przyznam się” — odpowiedział Lucyjan — „iż-bym rad wiedział, co za książkę pan przed chwilą właśnie czytałeś?”

„Cezara historję wojny galickiej” — odrzekł Vampa.

„Przepraszam pana, żem go tą drobnostką zatrudnił;” — a potem zbliżył się Lucyjan do pochodni bandyty i rzekłszy „za pozwoleniem” zapalił sobie cygaro.

W pół godziny później urzeczywistnił Albert istotnie swój sen przyjemny, tańcząc na balu u księcia Bracciano polkę z hrabiną G.

Nazajutrz rano udali się nasi przyjaciele do hrabięgo de Monte-Christo, aby mn przyzwoicie za jego nocną przysługę podziękować. Odwizdiny te miały oraz przygotować blizkie pożegnanie się, gdyż Albert i Lucyjan wybierali się już na powrót do Francji. Jak sobie łatwo wystawić można, zgadano się przytém o Paryżu, a nasi młodzi Francuzi wynurzali hrabiemu żywą chętkę obaczenia go tamże i przedstawienia go swoim paryzkim znajomym.

„I owszem” — rzekł Monte-Christo — „oczekiwałem tych zaprosin, i z chęcią je przyjmuję.”

„Kiedyż więc?”

„Za trzy miesiące.”

„Jeżeli pan pozwolisz, tego samego dnia, i o tej samej godzinie, jak dzisiaj;” — rzekł Lucyjan.

„Dobrze więc, za trzy miesiące: 21 maja, o wpół do jedynastej z rana.”

„Będziemy czekać na pana ze śniadaniem”

I wszyscy trzej zapisali sobie w pularsie: „21 maja, o 1/2 11 godzinie.”

A hrabia dopisał jeszcze „Rue du Helder, nr. 27” — to jest: dom i ulicę, gdzie Albert w Paryżu miał mieszkanie.

(Dalszy ciąg historii tajemniczego hrabiego nastąpi później, skoro ją angielskie dzienniki umieszczą.)

Murzyni w Północnej - Ameryce.

(Z listu z Washingtonu, d. 14 stycznia). Niedawno temu mieliśmy tu w sądziecie ciekawe widowisko. Umarł był czarny kaznodzieja przy pewnym kościele murzyńskim, w pobliżu Washingtonu. Z tego powodu Murzyni, którzy jak wiadomo, nadzwyczajny pociąg do naśladowania mają, a od czterech lat, kilku wystawnym pogrzebom, jako to najprzód prezydenta Harrisona, później owych na statku „Princeton” przypadkiem zabitych osób, wreszcie ex-prezydenta Jacksona, przypatrzeć się mieli sposobność, wyprawili świetną i osobliwszą w swoim rodzaju uroczystość. Uważając swego kaznodzieję niejako za naczelnika całej okolicznej ludności murzyńskiej, będącego przeto dla niej niemniej ważnym mężem, niż jest prezydent dla całej Zjednoczonej Ameryki, postanowili oni wszelkich starań dołożyć, aby wspomniona tu uroczystość z jaknajspanialszą odbyła się okazałością. Jakoż w istocie, prócz wymienionych powyżej trzech pogrzebów, nie pamiętają tu głośniejszego obchodu żałobnego. Lubo kościół dość jest przestronnym, nie mógł on przecież ani trzeciej części zgromadzonych objąć Murzynów, a tak musiała większa część przysłuchiwać się ze dworu kazaniu i reszcie nabożeństwa. Cała ulica, mająca 150 kroków szerokości, była przepelniona powozami, końmi i tłumami Murzynów wszelkich odcieni, zaczawszy od rodowitego, jak węgiel czarnego i krępego Afrykanina, aż do takich, którzyby w Europie za białych uchodzić mogli, a w których tylko wprawne oko tutejszego krajowca, afrykańskie pochodzenie rozetna. Wszakże najciekawszą rzeczą w tym niewolniczym zgromadzeniu, był ich strój. W całym tłumie przegłośno tysiąca ludzi, z których może trzecia część rzeczywiście była niewolnikami, nie dostrzegłem ani jednego, któryby niechędogo był ubranym. Owszem znaczna część, daleko więcej niż połowa, była dobornie, a nawet kosztownie wystrojona. Mulaści, jakoteż i bielsi nieco od nich Mestyce, bywają zazwyczaj dość kształtni, noszą się starannie i dbają równie usilnie o przybory i wytworność, jak najmodniejsi gładysze europejscy, którzy za wzór im służą. W ogólności są oni w wysokim stopniu zdolni wszelkiego zewnętrznego wykształcenia i umieją się przeto daleko lepiej na pozór zachowy-

wać, niż bieli ludzie na témże samym stopniu oświecenia. Wszakże na tém się też kończy całe ich ukształcenie. Oile oni bowiem darem bystrego postrzeżenia i naśladowania celują, o tyle zbywa im na wszelkich innych władzach umysłu. Zład chociaż wyzwolona na ciele, będzie musiała rasa afrykańska zostawać jeszcze długo w niewoli duchowej. Przy żadnej zaś okoliczności nie okazuje się to upośledzenie umysłowe tak rażąco, jak przy nabożeństwie. Jużto od lat wielu mieszkam w pobliżu kościoła murzyńskiego, protestanckiego wyznania, i bywałem nieraz po północy ich przeraźliwym wrzaskiem z najgłębszego snu przebudzanym — co wszystkim w sąsiedztwie zamieszkałym nakoniec tak nieznośnym się stało, iż wznowiono dawną miejską ustawę, na mocy której każdy po 10tej godzinie w nocy na ulicy przydybany Murzyn, karę pieniężną opłacać musi. Odtąd trwają te ich nocne zgiełkiwe zbory tylko do 10tej godziny. Każdego wieczora, z wyjątkiem środy i soboty, śpiewają i odmawiają oni godzinki w swoich kościołach. Śpiew ich jest szybki i niepodobny bynajmniej do żadnej zwykłej melodyi kościelnej, przypominający owszem rubaszne śpiewy majtków, a przerywany częstym piśkliwem *Halleluja!* Większa część Murzynów stojąc kiwa się całym ciałem do taktu, podczas gdy dziewczęta, będące bliżej ołtarza, najprzód zwołna się rozruszają, a potem w coraz gwałtowniejszy ruch przechodzą, aż nakoniec przy ciągłym odśpiewywaniu tejże samej nuty, jedna lub kilka z nich po długim, konwulsyjnym, całym ciałem łamaniu się, z wysilenia, w podrygach na ziemię padnie. Znajdują się one wtedy w religijnem zachwyceniu, wyrwują sobie włosy z głowy, rozdzierają szaty, tarzają się wśród religijnych wykrzyknień po ziemi, i bywają w końcu na dwór wyniesione, gdzie na świeżem powietrzu znowu do siebie przychodząc, ze światem się jedną. Często pada w ten sposób kilkanaście kobiet razem o ziemię, a wtenczas wszczynają się wrzask okropny, jakby w świątyni mord i gwałty się działy. Ponieważ godzinki nigdy się wprzód nie kończą, aż póki przynajmniej jedna z Murzynek tak nie omdleje, dla tego uważają to poniekaż za należyty akt nabożeństwa. Ile razy podczas kazania słowa „piekło” — „djabeł” — „wieczne potępienie” z kazalnicy się ozwa, tedy je całe zgromadzenie z krzykiem za kaznodzieją powtarza. Niekiedy zrywa się nagle część zgromadzenia i wszczyna okropną wrzawę, wołając: „Widzę cię Jezu! Widzę cię Jezu!” — Słowem, całe nabożeństwo Murzynów przypomina tak dalece pierwotne bałwochwalstwo dzikich ludzi, iż mimo najszczerzej chęci nie można przypuścić, aby oni prawdziwe wyobrazenie o najwyższej istocie mieć mogli.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 11ty i zawiera: 1) O użyciu siarczanu wapna (gipsu). 2) Wuiosek Tytusa hr. Dzieduszyckiego, członka towarzystwa naukowego krakowskiego, na posiedzeniu ogólnem towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego, dnia 31go stycznia b. r. odbytem. 3) Rzut oka na stan dzisiejszy wyrabiania cukru z buraków. (Dokończenie). 4) Sposób powiększenia w ziarnie siły kulczenia. 5) Kiedy krowy najlepiej doić? 6) Wiadomości handlowe.

Z Warszawy. Jan Wincenty Bandtkie †. Dnia 10go lutego r. b. umarł tu w 63 roku życia J. W. Bandtkie — Steżyński, były dziekan i profesor uniwersytetu Warszawskiego, i pisarz aktowy Królestwa, a w końcu radzca stanu i członek komisji rządowej sprawiedliwości. Weteran ten prawników polskich wielostronne położył w kraju zasługi. Przewodnicząc przez lat kilkanaście wydziałowi prawnemu w uniwersytecie warszawskim, nsposił całą prawie czerającą generację prawniczą. Jako literat odznaczał on się głęboką znajomością rzeczy krajowych, przecho jego liczne prace naukowe są prawdziwym skarbem dla historii narodu. Najważniejszymi pomnikami tego literackiego zawodu są: Prawo Chełmińskie. — Wydanie krytyczne kroniki Marcina Galla. — Zbiór najdawniejszych praw polskich. Nieboszczyk wypełnił w całej objętości tego wyrazu — „przeznaczenie obywatela.

Biblioteka warszawska na miesiąc marzec zawiera: 1) Słowo o zamierzonym krytycznym wydaniu kronikarzy polskich, przez W. A. Maciejewskiego. 2) Czasy Augusta III, wystawione w piśmiennych z owęj epoki zabytkach, przez T. Lipskiego. 4) Gramatyka polska T. Sierocińskiego — rozbiór przez T. Kurchanowicza. 4) Osadnictwo w Algierze, przez E. hr. Łubieńskiego. 5) Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez A. A. Kosińskiego. 6) Wiadomości o życiu Jana Bandtkie-Steżyńskiego, przez F. Bentkowskiego. 7) Nekrolog J. W. Steżyńskiego — Bandtkie, przez W. A. Maciejewskiego. 8) Kronika literacka — zagraniczna — biblijograficzna. — Rozmaitości. — Doniesienia literackie. — Dostrzeżenia meteorologiczne.

Znany uczoney węgierski p. Reguly, który lata zeszłego w gubernii Kazańskiej i w okolicach Niżnego Nowogrodu na koszt stanów węgierskich podróżował, śledząc tamże zabytków fińskiego plemienia Mordwinów, otrzymał teraz przyrzeczenie dalszego dwurocznego wsparcia i wrócił znowu do gubernii Kazańskiej, zkład jednak wkrótce dla uporządkowania i wypracowania swoich etnografjno-lingwistycznych materijałów w ojczyźnie jest spodziewanym.

Okropna płodność. Reaumur przekonał się, iż jedna mucha — matka 20.000 żarodków w sobie nosi. Co za straszliwe zład rozmnożenia! Gdyby ta rodzajna możliwość i ludziom była dana — już sama ta myśl, jest przerażająca!

Naturalne arfy eolskie. W wielu pismach o muzyce czytamy, iż wierzchołki drzew jodłowych przy niezbyt gwałtownym powiewie wiatru, w regularną przechodzą oscyllację, która podług właściwej arfom eolskim skali tony wydaje, jak to: terce, kwinte, oktawę. Coś podobnego możnaby także twierdzić o

szeleście trzciny lub szmerze liścia na drzewie. Jażkoż pewną jest rzeczą, iż gdziekolwiek prąd powietrza przewiewa przez jaką szczelinę, w której jakby mały ruchomy języczek, drobny listek się znajduje, tam zawsze pewien wyraźny ton się objawia. Przez jakoweś szczególne ugrupowanie się pojedynczych liści, wierzchołków jodeł, trzciny, może powstać podobny opór przeciw przeciągającemu wiatrowi, i wywołać razem lekkie brzmienie, które tkliwemu słuchowi, jak lekki dźwięk eolskiej arfy się wyda.

Anglija i szlachta angielska. Znauy pisarz Venedey opisuje w swoim dziele pod nazwą »Anglija» pewien bal wyprawiony w celu dobroczynnym: »Jedna połowa sali była od drugiej grubą przedzielona taśmą, trzymaną przez służących. Po jednej stronie bawito się »towarzystwo» czyli arystokracja, po drugiej my i inni nam podobni. Byłato znowu jedna z owych chwil ciekawych, w której się aż zbyt jasno okazało, jakim nszanowaniem arystokracja niższe klasy ludu dla siebie przejąć zdołała, i jak zrzęcznie ona to nszanowanie utrzymać umie. Krwawo-czerwona pręga przedzielała stany średnie od wyższych, a stojący na straży lokaj nakazywał każdemu smiałkowi: »Wara przestąpić! Nazad!» I czegoż jeszcze więcej potrzeba? — Po pierwszych dwóch kadrylach opadła przegroda, a nato zaczęto ciekawe pospółstwo cisnąć się ile możności najbliżej ku dostojnemu »towarzystwu.» Oglądano je, obstępowały półkołem napuszone księżne i panie, którym ta natrętność wcale niemiała być się nie zdawała. Są one do tego przyzwyczajone. Lecz jeszcze bardziej się zadziwiłem, gdy w chwili powtórnego rozpoczęcia muzyki, cała masa ciekawych znowu pokornie się usunęła, zostawiając dostojnemu »towarzystwu» wolne pole do tańcu. Nie trzeba było prawie ani taśmy przedzielającej, ani lokajów. Arystokracja — równie dodatnio jak i ujemnie — przeszła w krew całej Anglii. — W drukarni banku angielskiego stoją piękne, zgrabne i powabne maszyny, którym ludzie usługują. Ci posługacze wsuwają tylko papier w maszynę, a ta po drugiej stronie sama gotowy banknot wydaje. Jest to coś niewymownie przykrego, a nawet zastraszającego, widzieć tę prawie cudowną zrzętność martwego żelaza, w obec prostego zatrudnienia owych dwudziestu do trzydziestu posługaczy, którzy właściwie sami służbę maszyni czynią, podczas gdy maszyna pracującą ludzka, pracę umysłową wykonywa. Bo nie tylko iż ona banknoty drukuje, podczas gdy stojący przy niej ludzie tylko papier podają, lecz owszem nadzoruje ona jeszcze samychże ludzi i znaczy z nieprzechną rzetelnością ilość wydrukowanych banknotów. Tu maszyna mądra i uczciwa, ludzie zaś głupi i podejrzani.

O sobliwszy proces. Dnia 10go lutego r. b. rozstrzygnięto niełatwą sprawę przed sądem cywilnym w Caen we Francyi. Przed trzema laty, udali się niejaki p. Dumesnil i niejaka panna Lemoumier, w towarzystwie krewnych i świadków, do gminy Maire Biron, w pobliżu Caen, aby się tam podług wszelkich ustaw krajowych poślubili. Już się obrzęd spełnił, już ich za małżonków uznano, gdy oto właśnie wtęj chwili gdy miano kontrakt ślubny podpisać, panna młoda apopleksją tknięta, padła nieżywa. Mimo to jednak nie dał się *maire* tém wstrzymać, i akt spełnionego ślubu swoim podpisem zatwierdził; przeciwnie dwaj świadkowie odmówili podpisu, o czém też urzędnicy wyraźnie w intercyzie nadmienili. Ta ostatnia okoliczność skłoniła krewnych panny młodej do wytoczenia procesu narzeczonemu, w celu ode-

brania mu majątku, który panna młoda na przypadek śmierci swojemu małżonkowi zapisała, a do którego pod pozorem niedopełnionego małżeństwa, oni sobie prawo uroszcili. Trybunał cywilny w Caen uznał ważność małżeństwa i przysądził majątek p. Dumesnil. Podług ustaw większej części krajów europejskich musiałyby takie małżeństwo za niedopełnione być uznane.

Przeciw powszechnemu zdaniu o wpływie księżycyca na przytok i odtok morza obliczył pewien Anglik, imieniem Kerigan, iż siła przyciągająca, jaką słońce na powierzchnię ziemi wywierca, jest 150 razy większą od przyciągającej siły księżycyca, przeczo byłoby niedorzecznością przypisywać księżycowi główny wpływ na dzienne ruchy morza. — Inny Anglik, niejaki p. Claudet z Londynu, sporządza dagerotypy przy świetle księżycyca i przyrzeka nam zdjąć tym sposobem wkrótce dokładny obraz tarczy księżycowej; możnaby więc powiedzieć, iż to będzie portret księżycyca, rysowany przez niego samego.

Dawne przysłowie: »Sądzi jak ślepy o kolorach« — przestanie wkrótce być prawdą. Dzienniki angielskie przytaczają niejakiemu pana Thompson, który utraciwszy w drugim roku życia wzrok przez ospę, został później — farbierzem i trudniąc się przez 55 lat tém rzemiosłem, umiał nie tylko wszelkie kolory, ale nawet najdelikatniejsze odcienia rozróżniać i materjom swoim nadawać. Najciekawszą zaś rzeczą, iż sam nie wiedział, jakim on sposobem wiadomości barw nabywa. Zdaje się, iż on je tylko nadzwyczajnie bystro wykształconym zmysłem macania rozpoznawał.

Nowy teatr w Paryżu. Aleksander Dumas otrzymał pozwolenie otworzenia nowego teatru, i zaczął się już przygotowaniami do swego przedsięwzięcia. Zakupił hotel za 500.000 franków, aby go — zwałić i nowy na tém miejscu budynek teatralny wystawić. Sala będzie, jak się rozumie, bardzo obszerna, wygodna i wytworna. Wszystkie miejsca, od pierwszego do ostatniego — w liczbie 2400 — będą osobno liczbowane. Za każdą lożą będzie się znajdował salonik, do którego ma się iść przestronną, kwiatami i malowidłami przyozdobioną galeriją. Termin otwarczenia wyznaczony jest na 1. kwietnia 1847. Całe przedsięwzięcie zostaje pod szerególną opieką księcia Montpensier.

Śnieg materiałem budowlanym. Śnieg północnych i umiarkowanych stref ziemi utrzymuje się tylko w najwyższych górach przez rok cały, a i tam nawet nie miéwa dostatecznej miąższości. Lecz w północnych okolicach, jako kapitan Ross w czasie swego pobytu zimowego w Bootiafelix postrzegając, staje on się jak lód miąższym i twardym. Śnieg północny spaja nieraz odległe okolice, rozdzielone morzami lub jeziorami, zapełnia doliny, wyrównywa stoki gór najeżonych ostrzami skaliskami, pokrywa szerokie bagna, tak iż ludzie w saniach lub na łyżwach łatwo i z niesłychaną szybkością po nich przebiegać mogą. W najdalszych stronach biegunowych, jakoto u Eskimosów, służy śnieg także za materiał do budowa-

nia ich chat zimowych. Mieszkania koczowniczych plemion sybirskich składają się z sześciokątnych belków, i są nieco w ziemię wpuszczone, tak iż przy wielkich śniegach, tylko cokolwiek ponad powierzchnię ziemi się wznoszą. Śnieg, okrywający wkoło te chatki podziemne, zarazem je téż ogrzewa. Otwory tych chatek bywają zatykane szybami lodowymi, które dość światła wewnątrz wpuszczają, i równie jak czasem u nas w zimie, nieodmarzającą nigdy tkanką najdźwinięszych krzaczystych rysunków są powleczone. Po bokach téj podziemnej chatki znajdują się pomniejsze komórki, a na środku, pod wysokim kominem, pała duży ogień. Prócz wspomnionego wyżej użytku służy śnieg także do przechowywania mięsa i przyprawiania różnych napojów, przeczo po większej części miejsce roślinności zastępuje. Co dziwniejsza, że pomimo nadzwyczajnego zimna i dość częstego zamiatania, obfitują te chatki w wszelkie rodzaje owadów.

Ciekawe dzieło damskie. Możemy wkrótce bardzo zajmującego dzieła damskiego się spodziewać. Pewien stary dziwak zapisał znaczną część majątku w nagrodę owej damie, która by najlepsze dzieło o złych skutkach próżności ogłosiła.

Wspomnienia tegorocznych zapust. Na ostatniej reducie widziano pewną maskę, stojącą od początku aż do końca prawie nieruchomo na jedném miejscu. Na każde przemówienie do niej, zachowywała ona uroczyste milczenie. Nareszcie przystąpiła do niej jakaś inna maska i zapytała jej: »I kogoż to tak sekujesz?« — »Siebie samego,« odpowiedziała zapytana. — Nie przypominają sobie jeszcze w Paryżu tak głośnego i zgiekliwego karnawału, jak był tegoroczny. Ostatniej nocy wyprawiono 500 publicznych a 1500 prywatnych balów. Powozy żelaznej kolei z Orleanu i Rouen przywoziły samych prawie maskowanych podróżnych, przybywających na zapusty do Paryża.

Dziewczęta. W Głásbrennera »Kalendarzu komicznym« wyczytujemy: »Dziewczęta powinny być jak kwiaty, czyste i czułe, i nie powinny być jak kwiaty, bo powinny unikać motylów. — Dziewczęta powinny być jak opłatki do pieczętowania, t. j. wiernie zachowywać tajemnicę, i nie powinny być jak opłatki, bo nie powinny być tak często w ustach ludzkich. — Dziewczęta powinny być jak arfy eolskie, uroczyste i miłe, i nie powinny być jak one, bo nie powinny się dać nadymać. — Dziewczęta powinny być jak słońce, jedyne w swoim sposobie, i nie powinny być jak słońce, bo nie powinny rumienić się z rana i w wieczór. — Dziewczęta powinny być jak księżyc, przychylne kochaniu, i nie powinny być jak księżyc, który podług dostrzeżeń astronomów, prawie codziennie z toru zbacza. — Dziewczęta powinny być jak gwiazdy, tak wzniosłe i tak łagodne; i nie jak gwiazdy, bo nie powinny uśmiechać się do każdego. — Dziewczęta powinny być jak kościół, tak uroczyste i święte; i nie jak kościół, bo nie powinny zwoływać wszystkich głośnie mi dzwony na nabożeństwo do siebie. — Dziewczęta powinny być jak jagody, piękne i słodkie, i nie powinny być jak jagody, które lada swawolny ptaszek dziubie.